ROK VI. CHICAGO, dnia 9 go SIERPNIA, 1888. **No. 32**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1,50. Przedpłata musi być naprzód opłacana. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: / All comunications must be adressed: } W. Smulski, 635 Noble str. Chicago, Ill.

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI:
Czwartek, 9 sierpnia	Romana m. i Domicyana.	Borys i Chleb.
Piątek, 10 sierpnia	Wawrzyńca i Pauli p.	Wawrzyniec.
Sobota, 11 sierpnia	Zuzanny panny męcz.	Włodzimira.
Niedziela, 12 sierpnia	12-ta po Św. Klary panny	Sława bł.
Poniedziałek, 13 sierpnia	Hipolita męcz.	Rosław.
Wtorek, 14 sierpnia	Wig. Euzebiusza męcz.	Dobrowój.
Sroda, 15 sierpnia	Wniebowzięcie M. B.	Jacław św.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ XII-tą PO ŚWIĄTKACH.

Ewangielia S. Łukasza w rozdz. X. od w. 23 *do* 38

W owym czasie rzekł Jezus do uczniów Swoich: Błogosławione oczy, które widzą, co wy widzicie; bo powiadam wam, iż wielu proroków i królów żądali widzieć, co wy widzicie, a nie widzieli i słyszeć, co wy słyszycie. a nie słyszeli. A oto niektóry biegły w zakonie powstał, kusząc Go, i mówiąc: Nauczycielu! co czyniąc dostąpię żywota wiecznego? A On rzekł do niego: W zakonie co napisano? jako czytasz? On odpowiedziawszy, rzekł: Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszytkiego serca twego, i ze wszystkich sił twoich, i ze wszystkiej myśli twojej; a bliźniego twego jako siebie samego. I rzekł mu: Dobrześ odpowiedział, toż czyń, a będziesz żył. A on chcąc się sam usprawiedliwić, rzekł do Jezusa: A któż jest mój bliźni? A przyjąwszy Jezus rzekł: Człowiek niektóry zstępował z Jeruzalem do Jerycha, i wpadł między zbójców, którzy go też złupili i rany zadawszy odeszli, na pół umarłego zostawiwszy. I przydało się, że niektóry kapłan zstępował tąż drogą, a ujrzawszy go, minął. Także i Lewita, będąc podle miejsca, i widząc go, minął. A Samarytan niektóry idąc, przyszedł wedle niego i ujrzawszy go, miłosierdziem wzruszony jest. A przybliżywszy się, obwiązał rany jego, nalawszy oliwy i wina, a włożywszy go na bydlę swoje, prowadził do gospody, i miał pieczę o nim. A nazajutrz wyjął dwa grosze i dał gospodarzowi i rzekł: Miej staranie o nim, a cokolwiek nad to wydasz, ja gdy się wrócę, oddam tobie. Któryż z tych trzech zda się tobie bliźnim być onemu, co wpadł między zbójców? A on rzekł: Który uczynił miłosierdzie nad nim. I rzekł mu Jezus: Idźże i czyń podobnie.

Leki na strachy śmiertelne.

Kto ich zażyje, ten się już nigdy śmierci bać nie będzie.

(Ciąg dalszy.)

NA POŻEGNANIE.

Któż to wie, czy ja doczekam przyszłego roku, żebym ci mógł podobną książeczkę napisać, albo któż wie, czy ty doczekasz nowego lata, abyś mógł ją czytać. Ale choćbyśmy i doczekali się obaj szczęśliwie, toć przyjdzie czas, gdzie nas obydwóch już nie będzie na świecie, że ja już nie będę pisał, a ty nie będziesz już czytał. Na ten przypadek, to jest na przypadek śmierci, dałem ci 12 radzców, którzy ci pokazywać będą, jak masz robić, aby ci przy śmierci serce się nie ściskało od strachu, a dusza nie narzekała i mozoliła się, kiedy ma pójść na drugi świat. Jedenastu z tych dobrych radzców, jeśli ich się trzymać będziesz sumiennie, będzie stało jakby jedenastu Apostołów, około twego łóżka i każdy trzymać będzie w ręce poświęconą świecę i świecić ci będą, aby nie było ciemno na około ciebie, i będą cię cieszyli i pomogą ci szczerze pomodlić się do Boga. Aleć jeszcze jednego brakuje apostolskiego radzcy, a jak tego nie będzie, to ci 11 rozpierzchną się wnet i nie dotrzymają placu. Cóż to bowiem znaczy, albo co ci to pomoże, żeś tam, czytając com ci tu napisał, kiwał głową i mówił: tak, tak, to wszystko szczera prawda; albo żeś miał życzenie i przedsięwzięcie, wedle tego żyć i postępować, ale to przedsięwzięcie było słabe i mdłe; albo że dzisiaj lub jutro cokolwiek więcej grzechów się wystrzegać będziesz, ale na najbliższym za to jarmarku lub targu o wszystkim zapomnisz i wszystko na psa pójdzie? Widzisz więc, że tu koniecznie potrzeba dwunastego radzcy. Paweł św. na ostatku został Apostołem, ale tyle dokazał, co wszyscy inni Apostołowie; otoć i ten radzca, którego ci podam, a tyle, ba, prawie więcej znaczy jak owi jedenastu, idzie teraz do ciebie. Tym dwunastym doradzcą jestto wytrwałość aż do końca. Drzewo, które każdej wiosny kwitnie, ale wnet okwituje, nie wydając owoców, na nic nie jest przydatne, jeno na ogień i na spalenie. Takiem nieużytecznem

drzewem jest człowiek, który robi dobre postanowienia, który zaczyna być lepszym, ale dalej nie postępuje i nie trwa aż do ostatka w tem na nowo rozpoczętem życiu. Ale nie będę dlugo się zatrzymywał i obchodził z daleka na około tego, co chcę wypowiedzieć. Powiedz mi krótko, bracie, chcesz tak postępować, jakem ci tu napisał, czy też nie chcesz? Jeśliś jest pogrążony w błocie grzesznych nałogów, jeśli obrany całkiem z rozumu, w nich widzisz swoją rozkosz na podobieństwo niemej beśtyi, gdyż djabeł zadał ci już proszków na śpik, iż niczego nie czujesz i o niczem nie wiesz; jeśli pocieszasz się tem, że to wszystko nic nie znaczy: to rzuć mi natychmiast tę książeczkę w kąt gdzie pod łóżko, rób co ci się żywnie podoba, łaź do szynkowni we dnie i w nocy, racz się tym piekielnym napojem, tem słodkiem mlekiem djabelskiem, i przysłuchuj się uszami, i gębą, co ci tam bają i pletą złodzieje i rozpustnicy i z całego świata urwańce. Ja cię nie będę zatrzymywał; idź, gdzie chcesz, ja odtąd nic nie chce mieć z tobą teraz i przez całą wieczność. Wszystko mi zresztą jedno, czy ty tam będziesz dalej lub nie; ale jeśli masz dobry grunt w sercu, tak iż to ziarnko dobrej nauki, którą ci tu podałem, poczyna kiełki wypuszczać, to teraz uważaj, jak masz dalej robić, aby te wewnętrzne dobre poruszenia nie zamarły w tobie, ale wydały zdrowy i pożyteczny owoc.

Jestto całkiem fałszywe zdanie, jeśli myślisz, że można łatwo i bez wszelkiej trudności stać się poczciwym i pobożnym człowiekiem; że można wkręcić się do nieba bez wszelkiego starunku; że do tego trzeba tylko co rok albo co kilka lat odzwyczaić się od tej lub owej przywary i byle trochę jeszcze coś dobrego uczynić, jakby nieprzymierzając nową łatkę przyłożyć do starej sukmany.

To jest zgoła fałszywa nauka, a ja ci bez ogródki prosto w oczy powiadam, że choć ty wiele z tego, com ci tu napisał, będziesz wykonywał, to jeszcze bardzo wielkie pytanie, czy się ostoisz przed trzykroć Świętym P. Bogiem. Stara, grzechami i występkami poplamiona dusza musi być wprzód przepaloną w ogniu i musi się odrodzić w Duchu ś. To się

dzieje przez Sakrament Pokuty ś. Zapewne, żeś już wiele razy się spowiadał, ale ja na to wiele nie kładę, bo wiem, że bardzo wielu ludzi tak się spowiada, iż siedm tysięcy ich spowiedzi ani pół łóta nie ważą prawdziwej pokuty. Kto to wie, mój bracie, czyś ty już w ogóle w życiu twojem prawdziwą i szczerą odprawił spowiedź... Kto wie? możeś ty głównych rzeczy jeszcze nie poznał i nie spowiadał się takowych; możeś ty spowiadał się, żeś przeklinał, zaniedbywał pacierz rano i w wieczór, żeś się gniewał i złościł, ale cóż? kiedyś w sobie nie dostrzegł pychy, łakomstwa, złego wychowywania dzieci, gonienia za marnościami i lenistwa; żeś nie dostrzegał w sobie obgadywania i wiele innych rzeczy głównych i z nich się nie spowiadał. Kto wie, czyś ty przy wszystkich spowiedziach miał szczerą skruchę, czyś miał żal taki, który całą duszę przeszywa, jak obosieczny miecz, albo jak ogień, co cały drut i żelazo rozpala? Nie chodzi tu o to, żebyś wiele łez wylewał i ciężko wzdychał i lamentował, ale chodzi o to, abyś czuł ciężki smutek dla grzechów twoich; chodzi o to, aby ci grzechy więcej kłopotów i troski sprawiły, jak wszystko inne, co cię może uciskać; chodzi o to, aby ci grzechy twoje tak obrzydły, iżbyś wolał dać się ukrzyżować, jak jeszcze raz zgrzeszyć. Miałeś ty już kiedy taką skruchę, i masz ją jeszcze dzisiaj, kiedy sobie wspominasz, grzechy twoje? C. d. n.

Skrzypek we wilczej jamie.

Paganini, skrzypek nad skrzypkami, zwykł był w koncertach, jakie dawał po wielkich miastach, wywoływać wielkie wrażenie u słuchaczy grą na jednej strunie. Poczyna więc grę na czterech, po chwili wśród jakiego fortissima pękała jedna struna, po kilku minutach druga, wreszcie trzecia i potem to właśnie ujawniała się jego niezrównana gra, że na jednej grał tak, jakby na czterech. Ale na co się Paganini zdobył, na to nie zdobędzie się inny skrzypek, choćby smyczkiem co się zowie władać umiejący. — A jednak wiem ja o skrzypku, ba nawet powiedzmy, grajku wioskowym,

tylko, przed którym niech cień „czarna“ Paganiniego się skłoni. Paganini wprawiał ludzi w zachwyt, a nasz grajek dzikiego zwierza grą ubezwładnił! Jak było, opowiem.

Nasz skrzypek miał może z natury wielkie zdolności, ale rodzice się na nich nie poznali i dali go do krawca w naukę. Gdzie tam myśleć o skrzypkach, gdy łokieć wisiał nad głową i czasem ze straszną muzyką spadał na plecy. Ale mimo to, chłopiec gdzie dopadł skrzypiec, to brzdąkał i zyzolił. Kiedy wyszedł na człeka, pędził życie na pół jako krawiec, pół jako skrzypek. Grywał więc po wesołach w parafii, nawet i dalej i innych uroczystościach familijnych i tak żył. Byłoby to nie źle, ale miał wadę, bo któż jest bez wady, a zwłaszcza też z „artystow.“ Lubił łyknąć. Nie wińmy go zanadto, bo ciągła okazya po wesołach pchała go do kieliszka. Zresztą nigdy zbyt miarki nie przebierał i pamiętał, aby „godność“ nie cierpiała. —

Jakoś w jesieni późnej sławne się szykowało wesele sołtysowej Magdy z „folwarcznym panem“ Józefem Bajonem. Skrzypek uśmiechał się, gdy go zaprosili i przyrzekł, że skompletuje kapelę, co grą swą żywych ogłuszy, a umarłych wzbudzi. Dotrzymał słowa: wezwał Józwę, szewca w Kurpiów, który słynął z gry na piszczałce i kulawego Justę z Bohuc, który słaby był na nogi, ale mocny w rękach i rznął na basach, że trzymaj się mocno! Grał tedy ten „trójlistek artystyczny“ pod komendą naszego skrzypka, uciechy była siła, a jedzenia i napitku w bród. Muzykantom dymiło się z czupryny, Justa mówił, że to dym z cygar, Józwa, że kurz od tanów, skrzypek zdania nie objawiał.

Aleć każda radość się kończy — skończyło się i wesele. Kapela nazajutrz odpoczywała, a po południu jeszcze zarzempoliła państwu młodym razem i każdemu z osobna. Jak tu nie nagrodzić takiej grzeczności. Więc znowu pokrążył kieliszek w około, „artyści“ nie gardzili. Gdy w dwie godziny potem wyszli, ściemniało już na dworze, ale im było jasno w oczach, a gorąco w głowie. Rozstali się czule aż do przyszłego sutego wesela i każdy poszedł, jak mógł, ku domowi. Skrzypek zachował jak zawsze godność, szedł pro-

sto, obwinąwszy skrzypki w chustkę kraciastą, na plecach zawiesił torbę z bakaliami weselnemi dla swych „robaczków“ w domu. Szedł tedy i świstał i gwizdał, a im dalej szedł tem mu się bardziej zdawało, że coraz to słabiej gwiżdże, podczas gdy w istocie gwizdał coraz głośniej; szumiało mu w uszach i głowie. Wszedł w las. Kiedy mu pociemniało, począł śpiewać, a szedł ostro. Nieszczęście chciało, że w lesie tym urządzano obławy na wilki. Chwytano je zaś w ten sposób, że wykopywano głęboki dół, wkładano weń kawał mięsa świeżego, aby niem zwierza zwabić, potem dół pokrywano cienkiemi gałązkami i posypywano mchem i liściem. I sprawił przypadek, że nasz skrzypek, zbłądził i miasto drogą poszedł borem. A nieszczęście chciało, że wszedł wprost na taką jamę wilczą, w którą już wilk był się chwycił. Kiedy skrzypek z wesołą piosnką wpadł tuż przy zwierzu, ten prychnął od niego w drugi kąt jamy i zawył. Skrzypek na ten głos od razu wytrzeźwiał: poznał, gdzie jest i w ślad za myślą, która mu z właściwą „artystom“ nagłością do głowy strzeliła, chwycił za instrument, na którym był „wielki“ i począł grać. Co to była za gra? Choć słyszałeś może szanowny czytelniku, skrzypków wielkich, choć słyszałeś Wieniawskich, Bulewskich lub Sarasatego, nie w stanie jesteś wystawić sobie, jak grał nasz skrzypek, a tem mniej ja Ci to opisać mogę. Smyk suwał w takiem zacięciem po strunach, z taką błyskawiczną szybkością, że tony goniły tony, tłoczyły się jedne na drugie i gmatwały bezładnie. Nie dość na tem, że skrzypce grały; grały jeszcze zęby skrzypka, trzaskając szczęką o szczękę, grały włosy długie podnosząc się z czapką i opadając, grały cieniutkie krawieckie nogi i spodnie na nogach i torba i bakalie, — grała cała postać muzyką nie do opisania, muzyką okropnego strachu. Wobec takiej muzyki nie ostał się wilk! Przestraszony również wcisnął się w kąt jamy i począł jak by odpowiadać wyciem. Brzmiał tedy koncert i szła muzyka na lasy i powtarzały ją „dęby dębom, bukom buki.“ Skrzypek inaczej jednak zrozumiał wycie zwierza i sądził, że bestya szykuje nań zęby. Więc zdwoił zapał i szybkość gry, wtem brdęk — pęka je-

dna struna! Struchlał, ale gra na trzech, a wilk odpowiada to dyszkantem, to basem. Upływa znów kilka minut — pęka druga struna, skrzypkowi mdleje ręka, ale gra, wilk akompaniuje; znów mija kilka minut — pęka trzecia, skrzypkowi krew staje w żyłach, ale gra na jednej, jak grał na czterech, a wilk przywtarza. Oto i Paganiniego zakasował, ale nie o tem myśli teraz skrzypek; jemu kotłuje po mózgownicy straszna myśl: „a gdy pęknie czwarta co wtedy?“

Ale dosyć znać było i muzyki i pokuty skrzypka, bo w tej chwili błysło, — huknął strzał jeden i drugi z fuzyi leśniczego, który posłyszawszy okropną muzykę nadszedł w porę na ratunek skrzypkowi. Wilk padł ugodzony strzałami, a „artyście“ dopomógł leśniczy do wygramolenia się z jamy. Trzeźwiuteńki, jak by był dopiero wstał, a spocony jakby z łaźni wyszedł, ledwie się na nogach mógł utrzymać. Slubował nigdy już kieliszka nie ruszyć, a ową czwartą strunę zdjął z skrzypiec, zawinął w bibułę i schował do szuflady między pamiątki.

Mówili mi, że ślubu dotrzymał i pono nawet mająteczku się dorobił....

Historya o Rzymskich Papieżach.

Ciąg dalszy.

Już czas, aby czytelnicy poznali młodego Konstantego, którego Bóg powołał do zakończenia 300-letniego prześladowania św. kościoła katolickiego i do wprowadzenia w życie zasad chrześciańskich w państwie. Przez niego kościół przeszedł ze stanu prześladowania do stanu wolności, którą wedle woli Bożej mieć powinien. Konstantyn należał do familii wysoko postawionej a młodość jego rozwijała się pod okiem wybornego ojca Konstancyusza, któremu wszyscy pisarze przypisują wielkie cnoty a szczególnie skromność i łagodne obchodzenie się z ludem. Gdy Konstantyn w r. 292 18sty rok skończył, jego ojciec został cesarzem. To wyniesienie jego ojca na tę wysoką godność przez Dyoklecyana miała dla Konstantyna tę nieprzyjemność, iż jego

ojciec był zmuszonym wypędzić jego matkę Helenę, aby córka Maximiana Herkulesa jej miejsce zabrała a on sam był zmuszony jak zakładnik wierności ojca żyć na dworze Dyoklecyana w Nikomedyi. Konstantyn był młodzieńcem pięknej postawy, żywego umysłu, wielkiej dobroci i przez to sobie zjednał miłość żołnierzy. Konstancyusz niezadowolony z położenia swego syna zażądał aby mu go wrócił, pod pretekstem, że go bardzo potrzebuje i że życzy sobie mieć go przy swoim zgonie. Ale Galeriusz zatrzymywał go jak najdłużej u siebie, o ile mógł. Konstanty jednak przeczuwając zdradę potajemnie z Nikomedyi odjechał, przejechał Bitynią, Tracyą, Dacyą, Panonią, Włochy, Gallią i wśród wielkiej radości ludu przybył do portu Bulońskiego właśnie wtenczas, gdy jego ojciec zamierzał wylądować w Brytanii. Tam umarł Konstancyusz i rozporządził, aby Konstantyn w jego miejscu objął panowanie nad prowincyami. Gdy wiadomość o śmierci Konstancyusza się rozpowszechniła, żołnierze nie czekali na jego pochowanie, ale jednogłośnie obwołali Konstantego cesarzem. Konstantyn listownie uwiadomił Galeriusa o swojem wyniesieniu na tron a Galerius tak się rozgniewał, że chciał spalić tego, który mu tę wiadomóść przyniósł. Ale wkrótce się namyślił, bo wiedział, że ma do czynienia z potężnym przeciwnikiem i potwierdził go cesarzem. Tak Konstantyn przyszedł do panowania nad zachodnią częścią rzymskiego państwa.

Zaledwie minęły 3 miesiące a znowu gwałtowna zmiana w rzymskiem państwie nastąpiła. Panowanie 4 cesarzy razem dało się uczuć ludowi i niezadowolenie wskutek tego doszło do najwyższego stopnia. Cesarze nie mieszkali w Rzymie ale w innych miastach, senat i lud gniewali się, że wysokie musieli płacić podatki. Z tego niezadowolenia korzystał Maxencyusz, syn Maximiana Herkulesa i przywłaszczył sobie wraz z ojcem najwyższy urząd w Rzymie. Dwaj trybuni zabili prefekta miasta i kilku urzędników, którzy pozostali wiernymi Sewerowi a cały lud i senat przyjął Maxencyusza za rzymskiego cesarza. Tymczasem przybliżył się już do Rzymu Maximian Herkules i odebrał od

senatu zaproszenie poświęcenia do Rzymu, które też jak najchętniej przyjął. Teraz Sewerus prowadził swoją armię przeciwko Rzymowi, ale zamkniono przed nimi bramy i broniono miasta. Ponieważ część jego żołnierzy stała mu się niewierną, Sewerus czuł się zmuszonym udać się z pozostałem swojem wojskiem do Rawenny, wszedł w układy z Maximinianem Herkulesem, poddał się wkońcu pod tym warunkiem, iż mu życie będzie zachowane. Obietnicę mu dano, ale ją złamano, albowiem Herkules skazał go na śmierć. Ale teraz Galerius prowadził swoją armię do Włoch przeciwko Rzymowi, nic jednak nie mógł zrobić i musiał ze wstydem wrócić napowrót. Herkules starał się podburzyć Konstantyna, aby z Gallii uderzył na Galeriusa, ale ten uważał za lepsze w tej walce nie rozpraszać swoich sił. Galerius tymczasem dał Liciniuszowi miejsce cesarza przez śmierć Sewerusa opróżnione, tak że rzymskie państwo aż 6 cesarzy miało: Galerius, Maximinianus Herkules Maximinus Daca, Licinius Maximianus, Maxencyusz i Konstantyn.

Podczas kiedy to wszystko się działo, papież Marceli starał się naprawić to w kościele, co owe prześladowania kościoła zniszczyły. Ustanowił w Rzymie 25 gmin jak przedtem było i obsadził je kapłanami. W Rzymie jak również w innych miejscowościach wielu chrześcian wśród ogólnego prześladowania okazali się słabymi. Papież napominał i zachęcał do pokuty a kapłanom polecił, aby na nich wkładali pokutę odpowiednią, po wypełnieniu której mieli napowrót być przyjęci do kościoła i do sakramentów świętych. Część takich upadłych chętnie przepisanej pokucie się poddała, ale wielu innych nie chciało się jej poddać ale chcieli bez pokuty albo odprawiwszy małą pokutę na powrót być przyjęci do kościoła. Temu jednak sprzeciwiał się Papież Marceli i przez niego ustanowieni kapłani, wskutek czego gwałtownie odpadli katolicy, wpadali do kościołów uderzali na kapłanów i na wiernych i takie oburzenie wywołali, iż przyszło do wzajemnego zabijania się. Na czele bojących się pokuty był człowiek, który nawet w czasie po-

kojowym wyrzekł się Chrystusa i najwięcej miał przyczyny nie wziąść na siebie pokutę przepisaną. Cesarz Maxentius za poradą tego apostoła kazał schwytać niewinnego papieża, któremu tylko dobro kościoła leżało na sercu i skazał go na obsługiwanie koni w stajniach. Dziewięć miesięcy papież w tym stanie pozostawał i musiał czuwać nad zwierzętami. Ale potem przy dobrej sposobności kapłani w nocy potajemnie uprowadzili go stamtąd i przyprowadzili go do domu św. Łucyny. Do tego domu przychodzili wierni na nabożeństwo i na nauki papieża. Ale gdy Maxencyusz dowiedział się o miejscu pobytu papieża, rozkazał dom obłożyć aresztem a kaplicę zamienić na stajnię i poraz drugi zmuszał papieża Marcella do czuwania nad zwierzętami, gdzie przy tej ciężkiej pracy umarł. Dzień jego śmierci podawają 17go Lutego 309 r. Św. Łucyna wystarała się o ciało tego papieża i pochowała go na cmentarzu Priscilli. Marceli wyświęcił podczas swego panowania w Grudniu 19 kapłanów, 2 dyakonów, 11 biskupów dla różnych dyecezyi. Ponieważ był zwyczaj w kościele, iż i ci chrześcianie, którzy dla wyznania wiary we więzieniu pomarli, byli uważani za męczenników, to też św. Marceli zaliczony jest do męczenników. C.d.n.

GŁUPI FLOREK.

W pięknych stronach urodził się Florek -- u stoku Karpackich wzgórzy, niedaleko sławnego Olsztyna. Pewnego wieczoru, gdy wracał do domu z ojcem, obciążony miodem podebranym z pasieki pod lasem, przechodził właśnie mimo tej góry, na której wierzchołku sterczą jeszcze do dziś dnia niby dwa słupy, szczątki wież dawnego zamku. Zabawili się nieco po wstępce u sąsiada, zmrok ich zaszedł, i oto księżyc wrześniowy świecił jasno na niebie — ze szczeliny ruin wyglądała jakaś płacząca wierzbina. Rozmawiali z sobą dość żywo.

— Mój ojciec, a twój dziadek Florku — odezwał się stary — opowiadał mi, jak byłem chłopcem, że pamiętał do-

brze jak w tym zamku jeszcze się ludzie krzątali, a gdzie dziś smutne otwory w ścianach, tam piękne świeciły okna, i na wieży chorągiew wywiewała.

Dobry pan tam mieszkał! -- dodał po chwili, wiele świadczył ludowi do koła.

- A jak się nazywał? zapytał Florek — czy tatulo go znali?

— Nazywał się Karliński, ale ja go znać nie mógłem, bo i twój dziadek ledwo go z dziecinnych lat swych zapamiętał....

W tej chwili księżyc wypłynął z za chmury, i uroczym blaskiem otoczył sterczące ruiny zamku i całą górę i kilka drzewin, co u jej spodu sterczały. Florek nie mógł oderwać oczu od tych ruin i mimowolne wydał westchnienie.

Upłynęło lat kilka. Ojciec umarł Florkowi, potem matka, i biedak został sam,jak to mówią, gdyby kołek w płocie. Z razu służył za pastucha u zamożnego kmiecia. Chodząc za owieczkami po górach, wystrugał sobie skrzypce, nawiązał na nie struny ukręcone z włósia, i wygrywał jak umiał. A że grał zawsze na ton jakiś smutny, rzewny, niewiele go słuchano. A gdy go drudzy pastuszkowie szukali nieraz w święta i w niedziele, aby się z nimi zabawił w krąga, albo w konika, albo w gąski, to go prawie zawsze ściągać musieli z góry, gdzie te ruiny były. Rad on tam siadywał na ogromnym odłamie ściany, i ztamtąd patrząc na świat do koła, wygrywał od duszy, a tak zapamiętale, tęsknie i rzewnie, że często gęsto nie słyszał nawet, jak któryś z psotników stawał za nim i w ucho mu krzyknął co siły.

To też w wiosce widząc to niezwykłe jego postępowanie, nazywali go głupim.

Gospodarzowi wypadło raz odstawić aż do Proszowic zboże zakupione u niego; upakował dwa wozy, jednym sam powoził a lejce od drugiego dał w rękę Florkowi, bo był to już teraz chłop nie lada, a przytem zwinny i mocny. W Proszowicach kupił sobie Florek ze swych zasług ładną czapkę czerwoną, rogatywkę, w pawie piórko i wiązankę sztucznego kwiecia przystrojoną. I jeszcze jedną rzecz kupił, -- były to

skrzypce dęte, już nie tak jak te dawniejsze, z prostej deski strugane, a przytem pięknie umalowane. Ale te skrzypce schował głęboko w sianie, jakby się bał, aby ich kto nie zobaczył.

Gdy powrócili do domu, gospodarz Rola i jego żona nazwali Florka głupim, że sobie takie błachostki sprawił. Rola mówił, że przydałyby mu się prędzej dobre jałowicze buty, niż skrzypce; gospodyni śmiała się z pawiego piórka i kwiateczków przy czapce, a Jagusia ich córka choć możeby mu też co przymówiła, ale kiedy jej dał po cichu rząd korali i pierścionek z Matką Boską -- to jakoś dała mu pokój.

Florkowi o mało serce nie pękło z żalu, gdy zobaczył, że Jagusia nie wiele sobie robiła z tego gościńca, pokazała go nawet ojcu i matce; ci znowu zwrócili korale i pierścionek Florkowi, „bo niepotrzebnie się, jak mówili, wyszkodował na to.“

Florek o mało się ze wstydu nie spalił, gdy mu ten dar w skrytości dany, zwrócono i tak sponiewierano jego dobre serce; wyszedł do obórki, niby opatrzyć bydełko, a prawdziwie dla tego, żeby łzę gorzką po cichu obetrzyć.

O tej Jagusi wartoby nieco więcej powiedzieć. Była to bardzo ładna, bardzo wesoła, bardzo zgrabna i bardzo miła dziewczyna; na licach wiecznie kwitnęły róże, a ząbki miała równe i białe i pewnie też o swojej piękności dobrze wiedziała, bo owe ząbki rada często pokazywała.

Wymawiał potem Florek Jagusi na łące, że tak wzgardziła jego podarkiem; ale ona zaśpiewawszy coś w podskoku, choć uśmiechnęła się jakoś nieodrażająco, jednak nazwała go głupim, że jest tak czułym.

Coraz lepiej grał Florek; dowiedzieli się o tem w całej wsi; karczmarz prosił najprzód gospodarzy o pozwolenie, a potem Florka, żeby przyszedł grać w niedzielę po obiedzie, bo że to było po odpuście, więc dużo ludu się w karczmie spodziewał.

Przyszedł Florek ze skrzypcami. Coraz gwarniej i tłumniej było w obszernej izbie karczmowej; przyszła też i kmieciowa z Jagusią i usiadła na ławie. Florek tym ra-

zem był weselszy niż zwykle; bo też i Jagusia zaczęła go więcej jakoś uważać od pewnego czasu, i wpatrywała się dość często w niego swemi ciemnemi oczyma. Już to dzisiaj była ubrana paradnie; w duże ciemne warkocze miała wplecione dwie wstęgi czerwone, — na szyi błyszczały grube korale; blado-żółty stanik pół-jedwabny i wzorzysty, spódniczka modra letnia (bo to było w miesiącu Lipcu,) z rzuconemi po niej białemi kwiatami. Dosyć, że od niej w całej izbie żadna nie była ładniejszą i strojniej ubraną; nikt się też temu nie dziwił, bo jej rodzice mieli na to. D. n.

CO SIĘ STAŁO W POLSCE.

OD PIERWSZEGO JEJ ROZBIORU, AŻ DO KOŃCA WOJEN ZA CESARZA NAPOLEONA.

Ciąg dalszy.

Wojska Napoleońskie w Polsce, a za niemi zaraz Moskale.

Napoleon ruszył teraz do Paryża, drząc się przez wszystkie niemieckie kraje, z jednym tylko Jenerałem saneczkami, a stanąwszy na miejscu, zbierał jak najpospieszniej wojsko, aby wyruszyć na Moskali, którzy szli w te tropy za resztkami uciekających jego żołnierzy.

Wróciło do Warszawy polskie wojsko nie tak bardzo wynędzniałe jak francuzkie, boć Polak zwyczajny mrozów i śniegów, więc nie tak zaraz marniał. Ale z tych 85 tysięcy zaledwie 24 tysiące było przy życiu, a z tych, mało który bez rany. Waleczny Jenerał Dąbrowski na wylot miał rękę przestrzeloną, nie bacząc jednak na ten ból ciała, bo sroższe męczarnie ponosił w sercu, wyruszył do krajów niemieckich, gdzie się miał bój rozpocząć z Moskalami.

Litwę zaraz też Moskwa teraz zagarnęła, i szła prosto na księstwo Warszawskie, a przed nią uchodziły biedne Francuziska, przemarzłe, kulawe — ubrani nie raz w chłopskie siermięgi, miejskie fraki, księże rewerendy, w kobiece salopy, szuby, wełniane fartuchy, a czasem nawet w kościelne ornaty i kapy. Mocniejsi i karniejsi szli w porządku woj-

skowym razem nierozpruszeni, i ci po wiele razy dobrze Moskali strzepali, skoro ich tylko zaczepili, ale słabsi i bardziej wynędzniali szli pojedyńczo, a tych Polacy rozgrzewali, karmili, wyciągali co mieli, a odziewali i dając co mogli, na drogę wyprawiali dalej, bo Moskale szli, a zabierali do niewoli. Zaraz też po godziech 1813. roku księstwo Warszawskie pełne było moskiewskiego żołnierstwa, a Car co prędzej, tu swoje rządy zaprowadzał. Francuzi pokrzepiwszy się, nie tak zaraz Moskalom ustępowali, zwolna też z księstwa Warszawskiego wychodzili, i zwolna się Moskwa rozpościerała. Na dwa dni przed Św. Walentym, to jest 12. Lutego wyszli Francuzi z Poznania, a w tydzień po nich weszli Moskale i pomykali się w kraje niemieckie, Cały świat na nowo gotował się do wojny. Napoleon zbierał, a zbierał wojska, tak, że w niedługim czasie, miał go 300 tysięcy.

Sprzymierze Cara Moskiewskiego przeciw Napoleonowi. Car łudzi Polaków.

Rosł i Car Moskiewski Aleksander w siły, bo nietylko, że wszystek Lud jaki się jeno mógł bić, prowadził ze swoich krajów, ale jeszcze zmówił się z Anglikami, Szwedami Prusakami, Austryakami i wszystkiemi innemi niemieckiemi królami i książętami, aby z nim wojowali Napoleona, a tę zmowę przezwał sprzymierzem. Aby zaś poruszyć Lud wszystek w tych sprzymierzonych krajach, każdy z monarchów, czy to cesarz czy król, alboli książe, przyobiecał swemu Narodowi wielkie wolności i konstytucyą, skoro jeno pobiją Napoleona. Ruszyły się więc Ludy, a garnęli się do broni i kiedy przyszło do bitwy, to mieli sprzymierzonego wojska 500 tysięcy.

Tymczasem przez Litwę i księstwo Warszawskie waliły się, a waliły kupy dzikich Ludów, gdzieś tam, aż z Azyi, drugiej części świata, które Moskwa prowadziła na wojnę, Ludy o których do tego czasu mało kto usłyszał, a nazywano ich Baszkierami i Kałmukami. Dziwnie to brzydkie Narody, z płaskiemi twarzami, z małemi oczami głęboko w głowie świecącemi. Włosy mieli rozczochrane, które przykrywały śpiczastemi czapkami, a brody nosili długie, nigdy nie-

rozczesane. Było to niechlujne, nędznie odziane, bo zaledwie siermięgą zrobioną z konich włosów albo kożuszyskiem. Strzelbę mało który miał, jeno piki i strzały. Z tego widzicie, że moskiewski kraj choć wielki, ale nieludny i biedny, kiedy takie szobrajstwo, miasto żołnierzy na wojnę prowadził, a jakby Moskwie polskie kraje odpadły, toby wcale niczem była. Miarkował też to dobrze Car Aleksander i nakazał swemu żołdactwu zachowywać się jak najspokojniej w w polskich krajach, nie rabować, nie uprzykrzać się w niczem, a tajemnie posyłał pisania do Polaków i przez swoich posłanników wszędzie kazał rozgłaszać: że jeżeli mu Polacy zaufają, to im się żadna krzywda nie stanie, owszem przywróci Polskę, bo on bardzo Polaków szanuje i kocha.

Nie zawierzyli tym chytrym słowom uczciwi Polacy, choć byli i tacy — boć złych do tego czasu nigdy u nas nie zabrakło -co w skok chcieli poddawać Polskę Carowi Aleksandrowi. Cnotliwsi jednak przemogli i odpowiedzieli: że nigdy się tak nie zhańbią, żeby sami dobrowolnie ciemiężyciela ogłaszali swoim panem. Wszyscy też młodzieńcy z Litwy, Wołynia, Ukrainy i księstwa Warszawskiego cisnęli się pod polskie chorągwie, tak, że Moskwa już mało kogo do swego wojska zagrabić mogła. Przedzierali się ci nowi polscy żołnierze, to do jenerała Dąbrowskiego, który był z Francuzami w niemieckich krajach, to do księcia Poniatowskiego, który w Krakowie, gdzie jeszcze Moskale nie byli dośli, zbierał nowe wojsko, a inni znowu dostawiali się do fortec, których Polacy bronili.

Dorozumieliście się pewnie sami, że te krocie Moskali nie swoim, jeno naszym chlebem się żywiły. Zaraz też po większych miastach osadzali jednego ze starszyzny wojska przez rok cały, a jeszcze Lud ubogi nie umarł z głodu. Oj gdyby nas ci obcy tak nie objadali, bylibyśmy najbogatszym Ludem na świecie.

O wojnach Napoleona w Niemczech i o dzielnych Krakusach.

Wojska Napoleona i sprzymierzonych zbierały się nie daleko Drezna, gdzie to wiecie, że przemieszkiwał dawny Elektor Saski, a natenczas i książe Warszawski. Przedarł

się tam i książe Poniatowski w 13 tysięcy polskiego wojska, na zwinnych konikach, a prowadził z sobą ułanów, których nazywali Krakusami. Ucieszyli się bardzo tym Krakusom Francuzi, bo jak Kozacy przy Moskalach uwijali się dzień i noc, a nie dali zmiru Francuzom, tak teraz Krakusy dzień i noc męczyli wojska sprzymierzonych i trzepali Kozaków.

Zabawnie to nieraz było, jak się Krakusy z kozakami uganiali, jedni i drudzy chybci, jeno, że Krakusi szykowniejsi, więc jak się który w kupę Kozaków dostał, to się i snadniej wywinął. Było to nieraz śmiechu i wesołości patrzącym, i samym nawet Krakusom i Kozakom, jak jedni drugich chcieli podejść i dostać, a nie mogli, bo to już taka ludzka natura, że się nałoży do wszystkiego i weseli się gdzie może, a nawet wśród gradu kul.

Dzień przed uroczystością Znalezienia Św. Krzyża, to jest 2. Maja przyszło między Napoleonem i sprzymierzonymi do batalii pod miastem Litzen. Biły się wojska sprzymierzonych zażarcie, nie ustępowały w niczem Napoleonowi, bo przez długie z nim wojowanie wyuczyli się od niego i drudzy sztuki żołnierskiej i jak dawniej on tylko sam, umiał rozstawiać i skupiać wojsko, tak teraz umieli to wszyscy. Ale jednak, co Francuzi i Polacy, to nie Moskale i Niemcy i choć nieprzyjacielel miał jeszcze raz tyle wojska, wygrał Napoleon bitwę. Miarkujcie jednak, jaka musiała być krwawa, kiedy sprzymierzeni stracili wojska z 300 tysięcy, które tam mieli 36 tysięcy, a Napoleon z 150 tysięcy 20 tysięcy miał ubytku.

Nie w samych niemieckich krajach wojował Napoleon ze sprzymierzonymi, bo się toczyły boje w Hiszpanii i we Włoszech. Oj pospuszczali też to nosy sprzymierzeni po batalii pod Litzen, a Francuzi i Polacy na nowo odżyli. Potem następowały bitwy jedna po drugiej w dłuż i w szerz niemieckich krajów, a w których to Napoleon zbijał, to znowu bywał pobity, a bywały te batalie, gdzie nie raz na placu legło kilkanaście tysięcy, a Polacy wszędzie pierwsi do bitwy, a ostatni z niej.

Nie opisuję wam ich wszystkich, bo te batalie nic na świecie nie zmieniły, nie przeważyły ani na tę, ani na ową stronę, a wojska, co zginęło, to zaraz przybyło i sprzymierzonym i Napoleonowi, choć Napoleonowi przychodziło to z trudnością, bo miał tylko Francuzów i trochę polskiego i włoskiego wojska, a z Niemców, samych jeno Sasów, ale i ci, jak zwyczajnie Niemcy, nie szczerze się z nim bili. C. d. n.